

Tadeusz Boy-Żeleński: Dwie legendy Jana Jakuba Rousseau

Istnieją dwie legendy Jana Jakuba, biegnące w ciągu lat równoległe obok siebie lub też kolejno, na przemian, biorące górę. Jedna, która wyposaża „obywatela genewskiego” we wszystkie cnoty stoiczne, rzymskie i arkadyjskie, utrzymywała się wśród „maluczkich” i służyła za kanwę panegirystom jego z czasów rewolucji. Podstawę do drugiej legendy stanowią wszystkie ujemne fakty, z których spowiada się z takim zapalem w „Wyznaniach” — pisał Tadeusz Boy-Żeleński we wstępie do „Wyznań” Jana Jakuba Rousseau

O ile pierwsza część [*Wyznań*], poświęcona wrażeniom i marzeniom młodości, mniej lub więcej upoetyzowanym, mogła się obejść bez szczególnego komentarza, o tyle ta druga, w której Jan Jakub wchodzi w styczność z życiem rzeczywistym, opisuje je zaś pod kątem stanowczo rozwijającej się w nim manii prześladowczej, wymaga kilku słów objaśnienia. Docieczenie prawdy w sprawach dotyczących życia Russa i ujęcie ich w trafnym oświetleniu nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Proces pisarza, który on sam rozpoczął swoim samooskarżeniem i apologią zarazem, daleki jest od ukończenia. Mało jest artystów i myślicieli, których by sława — za życia i po śmierci — przechodziła takie falowania i wywoływała tak jaskrawe kontrowersje. Za życia, o ile Rousseau miał, to prawda, namiętnych wrogów (nie tylu i nie w tym stopniu jak sam mniema), o tyle miał i fanatycznych wielbicieli. Kult ten spotęgował się jeszcze w pierwszym okresie po śmierci pisarza, kiedy wiele jego idei czy szaleństw zaczęło się wcielać w czyn, a

płomienna jego dialektyka stała się pierwowzorem republikańskiej wymowy. W miarę jednak jak z biegiem lat aktualność ideowa Russa zaczyna przechodzić do historii, a dzieło jego trwa nadal już w dziedzinie literatury, bierze górę, odnośnie do tego autora, coraz większa reakcja, oparta przede wszystkim na łatwo dającej się wyczuć żywiołowej antypatii.

Przyczyn do tego jest wiele. Po pierwsze, jego *Wyznania*. Obnażywszy się tak bezprzykładnie za całą ludzkość, Rousseau ponosi konsekwencję tego gestu, który mimo wszystkich zapewnień autora powabny ani sympatyczny nie jest. Po wtóre, typ jego umysłowości. Rousseau nie jest rasowym pisarzem francuskim: piśmiennictwo francuskie nie może się mimo wszystko powstrzymać nieraz od niechętnego zachnięcia wobec konieczności przyjęcia go w poczet swych najpierwszych luminarzy. Nie jest rasowym Francuzem nie tylko przez swe pochodzenie, przez swój szwajcarski protestantyzm, przez fanatyzm niezłagodzony owym wrodzonym sceptyzmem, którego miły uśmiech stanowi tak znamienne cechę francuskiej kultury, ale także przez absolutny brak smaku i tego, co nie da się wyrazić w innym języku, a co Francuz nazywa *esprit*. Russa można było, w danym stanie dusz i umysłów, uwielbiać jako myśliciela, wyznawać jako proroka — niepodobna go prawie lubić jako pisarza.

Przeczytaj również: Tadeusz Boy-Żeleński – Brązownicy

*Filozofia XVIII wieku
podkopywała zdecydowanie
kryteria moralne religii*

Dalej, jego legenda. Istnieją co prawda dwie legendy Jana Jakuba, biegnące w ciągu lat równoległe obok siebie lub też

kolejno, na przemian, biorące górę. Jedna, która wyposaża „obywatela genewskiego” we wszystkie cnoty stoiczne, rzymskie i arkadyjskie: to ta, która utrzymywała się wśród „maluczkich” i która służyła za kanwę panegirystom jego z czasów rewolucji. Podstawę do drugiej legendy stanowią – można powiedzieć – wszystkie ujemne fakty, z których spowiada się z takim zapałem w *Wyznaniach*, ale zabarwione tak, jak się mogły przedstawiać chłodnemu i nieżyczliwemu spojrzeniu jego wrogów. Gorzej jeszcze! Utarło się przez długi czas w krytyce literackiej wierzyć słowom Russa wówczas, gdy się oskarża, uważać je za kłamstwo tam, gdzie się uniewinnia. Niemało przyczyniły się do tego tzw. *Pamiętniki pani d'Épinay*, ogłoszone drukiem z początkiem XIX wieku i przez długi czas brane w rachubę przez wybitnych nawet krytyków – między innymi Sainte-Beuve'a – jako poważny dokument odnośnie do biografii Russa[1]. W ogóle nie mogło ujść bezkarnie pamięci pośmiertnej Jana Jakuba to, iż za życia poróżnił się, można powiedzieć, ze wszystkim, co stanowiło elitę świata piśmienniczego i umysłowego Francji. Historia tych nieporozumień, u ich samego źródła, wypełnia znaczną część drugiej połowy *Wyznań*; akta tych zająć zbadane są przez krytykę literacką tak dokładnie chyba, jak w ogóle możebne: każde słowo, każdy wiersz korespondencji przepatrzone, zestawiono i roztrząsnięto na wszystkie sposoby. Mimo to wyłaniają się wciąż nowe interpretacje; spór ten jest pod wieloma względami do dziś nierozjaśniony i jak sądzę, zawsze pozostanie ciemny, gdyż pobudki jego kryją się w nieprzeniknionych głębiach serca ludzkiego; a trudniejszym jeszcze do rozświetlenia czyni go ta okoliczność, iż w wydarzeniach tych splatają się czynniki doniosłe i wielkie z nieskończenie błahymi i małymi; walki idei mających świat odrodzić – obok światowych intryzek kobiecych lub jeszcze innych elementów, wręcz gminnych i niskich. W ogóle cała ta dziwna sprawa ma kilka planów i przekrojów; spróbuję je w paru słowach choć zaznaczyć.

Po pierwsze, stosunek Russa do tzw. „filozofów”. Stronnictwo „encyklopedystów”, zmuszone do walki na kilka frontów, stanowi w ówczesnym paryskim światku niby sektę niezmiernie solidarną, zazdrosną o swój wpływ, w najwyższym stopniu despotyczną, i — w zakresie swoich pojęć — pozbawioną tolerancji. Rousseau, w początkach luźno z nimi związany, jest dla nich zawsze człowiekiem niepewnym: instynktem czują w nim drzemiącą zagadkową siłę, a nie wiedzą, w którym kierunku się obróci[2]. Chcieliby mieć nań wpływ (dopóki Rousseau mieszkał w Paryżu, Diderot miał nań wpływ bardzo znaczny), trzymać go pod ręką; stąd owo niezadowolenie z emigracji Russa do Pustelni i dość dwuznaczne zabiegi celem ściągnięcia go z powrotem. Przy tym ten obieżyświat, ten samouk, ten muzykus, ten „chłystek” (jak stale nazywa Russa baron d’Holbach, amfitrion *Encyklopedii*) posiada jakiś dziwny, niepojęty dar, iż wszystko, co czyni, pociąga ku niemu oczy wszystkich i połączone jest stale z niebywałym rozgłosem! Jest niby muzykiem; mozoli się nad jakimś utopijnym systemem nutowym; naraz wystrzela konkursową broszurą najeżoną paradoksami: zdobywa nagrodę Akademii, broszura jest rozchwytywana, stanowi wypadek dnia, uświetniony jeszcze szermierką dialektyczną z królem polskim. I znowuż, po tym pasowaniu na „filozofa”, zamiast użytecznie pracować w szeregach encyklopedystów, którzy gotowi są przyjąć go za swego, pisze operę: wystawiają ją na dworze, pani de Pompadour się zachwyca, król chce widzieć autora, dać mu pensję ze swej szkatuły — ten szalencie ją odtrąca. Zaledwie zdobywszy znów ostrogi w muzyce francuskiej, występuje z pamfletem odmawiającym tejże francuskiej muzyce racji istnienia: znów hałas, wrzawa nie do opisania, powódź polemik, broszur. Więcej jeszcze: nowo kreowany filozof wprowadza swoje dzikie maksymy w czyn: dziwacznym przebraniem, trybem życia i

diogenicznie gburowatymi odpowiedziami ściąga na swe poddasze cały wielki świat Paryża. Doprawdy, ten wieczny, wciąż niespodziewany Jan Jakub zaczyna być niecierpliwący!

*Aby zrozumieć stan
psychiczny Russa w tej całej
przygodzie, trzeba pamiętać,
że ten, do lat trzydziestu,
„mały” pani de Warens był
również zepsutym dzieckiem
Paryża*

Z drugiej strony,
światek kobiecy.
Znanym jest
zamiłowanie
modnych pań do
obłaskawiania
genialnych
„niedźwiedzi” (*mon
ours* – tytuł
powtarzający się

często w listach świetnych przyjaciółek Jana Jakuba); to wdzięczne zadanie wzięła na siebie pani d'Épinay, robiąc zresztą na tym, odnośnie do swoich światowych i literackich aspiracji, znakomity interes[3]. I otóż ten prawdziwy niedźwiedź, ten niewdzięcznik, pomieszczony przez nią w zbudowanej dlań umyślnie Pustelni, ośmiela się zakochać — w kim innym! Ależ to policzek w oczach Europy! I w kim jeszcze? W znienawidzonej bratowej, w pani d'Houdetot! Wśród tego światka operuje Grimm, przybysz niemiecki, karierowicz, człowiek zdolny, niepospolitej wytrwałości i sprytu, chłodny i bezwzględny. Ten Grimm zna się na ludziach i wie, jak ich użyć: przyjaźń Diderota starczy mu na całe życie za kopalnię myśli i sądów krytycznych; Rousseau, skoro mu raz dopomógł dobrodusznie do wejścia w „piękny świat”, nie zda mu się już na nic, mógłby go jedynie zaćmiewać na terenie, na którym się wspólnie obracają. Wprowadzony przez Russa do domu pani d'Épinay, zostawszy jej kochankiem, Grimm nie ma ochoty znosić w jej pobliżu człowieka mającego prawa dawniejszej przyjaźni, a przerastającego go o ileż głów talentem i urokiem! Odtąd programem Grimma —

świadomym czy instynktownym — będzie zatruć „pustelnikowi” życie na dworze pani domu tak, aby musiał opuścić swą pustelnię. To wszystko są motywy dość ludzkie i zrozumiałe, nie trzeba szukać poza nimi „spisku”, w jaki później, z perspektywy momentu pisania *Wyznań*, Rousseau wierzył tak niezłomnie.

Przeczytaj również: Rousseau. U progu nowoczesności [TPCT 118]

Istotnie, ciekawym jest, czytając *Wyznania*, patrzeć, jak w tej sieci, usnutej, może bez świadomej intencji działających osób, z tyłu rozmaitych nitek, miota się biedny genialny niedźwiadek, pomiędzy dwuznaczną a wścibską przyjaźnią Diderota, chłodną zawiścią Grimma, draśniętą ambicją pani d'Épinay, głupotą Teresy, interesownością starej Levasseur, niefrasobliwą i nieodpowiedzialną zalotnością *mondaine*'y na świeżym powietrzu, pani d'Houdetot! Jak śle na wszystkie strony epistoły, w których geniusz jego pisarski utrwala w nieśmiertelność błahostki przeważnie niewarte wzruszenia ramion! Aby zrozumieć stan psychiczny Russa w tej całej przygodzie, trzeba pamiętać (obok momentów uwydatnionych w *Wyznaniach*), że ten, do lat trzydziestu, „mały” pani de Warens był również — prawie od samych początków — zepsutym dzieckiem Paryża, przyzwyczajonym do bezgranicznej pobłażliwości; w ostatnich zaś czasach był bożyszczem wielkiego świata, obcałowywanym w zamian za swe grubiaństwa przez najwytworniejsze damy. Czytając *Wyznania*, w których Rousseau mówi aż do przesytu o różnych swoich fizycznych przypadłościach i dolegliwościach, jak również ciągle kładzie nacisk na swą ciężkość, niezręczność towarzyską itd., można by mieć wrażenie, jakoby stanowił zjawisko raczej odpychające. Tymczasem zarówno świadectwa współczesne, jak i sam fakt przyciągania do siebie coraz to nowych

entuzjastów i przyjaciół, zwłaszcza wśród kobiet, każą wnosić, iż osoba Jana Jakuba musiała wywierać — zwłaszcza w początkach znajomości — ten sam potężny urok, który tak czarował w jego pismach.

Przeznaczeniem Russa było stać się na każdym polu odrodzicielem swej epoki. Podobnie jak otworzył oczy ludziom na naturę, tak samo przypomniał istnienie miłości temu światu, który przez nadużycie rozkoszy i dowcipu zatracił niemal jej pojęcie. *Nowa Heloiza* stała się uderzeniem różdżki w jałową opokę tych serc przeżytych i wyschłych; z tych podkreślonych barwiczką oczu trysnął strumień łez i piękne panie pozwoliły im płynąć swobodnie, zapomniawszy na chwilę o brzdach, jakie znaczą w pokładzie rózu i bielidła. Znowuż odwołam się do *Listów* panny de Lespinasse jako do wyrazu tej cudownej przemiany.

Notując to odrodzenie, które w konsekwencjach przerodziło się nieraz w bardzo podniosły idealizm, nie zapominajmy, iż źródłem, z którego ono wyszło, jest najpłomienniejsza zmysłowość, jaką zna literatura, i nic tylko zmysłowość; zmysłowość człowieka, którego całe życie było daremnym pragnieniem kobiety i u którego rozpędowe koło twórczości obracało się wyłącznie poruszane tym motorem. Oto znamienne w swojej szczerości wyznanie tego apostoła „powrotu do natury”:

Zresztą, szwaczki, pokojówki, panny sklepowe nie kusiły mnie wcale; trzeba mi było wykwintnych panien. Każdy ma swoje fantazje; moja była zawsze taka i nie godzę się bynajmniej z Horacym na tym punkcie. To, co mnie w tym pociąga wszelako, to wcale nie próżnostka pozycji społecznej i stanu; nie, to lepiej utrzymana płeć, ładniejsze ręce, wdzięczniejszy strój, polor wykwintu i schludności w całej osobie, więcej smaku w

sposobie bycia i wysławiania się, suknie z cieńszej materii i lepiej skrojone, zgrabniejszy trzewiczek, wstążki, koronki, lepiej utrefione włosy. Dałbym zawsze pierwszeństwo mniej ładnej, byleby miała to wszystko. Sam uważam to wyróżnienie za śmieszne, ale serce nie pyta mnie w tym o zdanie...

Zmysłom tego wyrafinowanego plebejusza potrzeba wielkich dam, od których dzieli go własna nieśmiałość i niezgrabstwo, dzielą zapory społeczne, towarzyskie: *ergo*, ustrój społeczeństwa jest zły, trzeba je przebudować lub zburzyć! Na razie zaś, zostawiając troskę o tę przebudowę przyszłym pokoleniom, schronić się w lesie i zmusić wielkie damy, aby przyszły go tam szukać; i to mu się udało.

*Źródłem, z którego
odrodzenie wyszło, jest
najpłomienniejsza
zmysłowość, jaką zna
literatura, i nic
tylko zmysłowość;
zmysłowość człowieka,
którego całe życie było
daremny pragnieniem
kobiety*

A posłuchajmy tego ustępu, w którym kreśli „największą, jedyną” miłość swego życia: w bezwzględnej swojej szczerości Rousseau zdaje się nie przeczuwać nawet, aby miłość, poza dręczącym go wciąż problematem nasycenia zmysłów, miała jakkolwiek

inną stronę:

I niechaj nikt sobie nie wyobraża, że zmysły zostawiały mnie przy niej w spokoju, jak koło Teresy i mamusi. Powiedziałem już, tym razem była to miłość, i to miłość w całym jej napięciu i całym szaleństwie. Nie będę opisywał ani wzruszeń, ani drżenia, ani palpacji, ani konwulsyjnych skurczów, ani omdleń serca, których doświadczałem nieustannie: można będzie sądzić o mym stanie z wrażenia, jakie sam jej obraz czynił na mnie. Wspomniałem, iż z Pustelni do Eaubonne był spory kawałek drogi; szedłem zazwyczaj przez wzgórza Andilly, które są urocze. Idąc, marzyłem o tej, którą miałem ujrzeć, o serdecznym powitaniu, jakie mi zgotuje, o pocałunku, który mnie czeka za przybyciem. Sam ten pocałunek, ten złowrogi pocałunek, zanim go nawet otrzymałem, rozpalał mi krew do tego stopnia, iż w głowie mi się mąciło, ćmiło w oczach, drżące kolana nie mogły mnie utrzymać; byłem zmuszony zatrzymać się, usiąść; cały organizm znajdował się w niepojętym bezładzie; bliski byłem omdlenia.

Przeczytaj również: Tadeusz Boy-Żeleński – *Komedia ludzka na tle Europy*

Czytając drugą część *Wyznań*, a zwłaszcza jej epizod z Pustelni, o wielu jeszcze rzeczach trzeba by pamiętać, aby w należyтым świetle zrozumieć ton tych korespondencji, tych ciągłych deklamacji o cnocie, przyjaźni etc. Warunki epoki, w której toczą się owe wypadki, były bardzo różne od tych, w których my żyjemy. „Przyjaźń”, „przyjaciel”, te słowa miały w XVIII wieku inną wagę niż ta, którą przyznajemy im dzisiaj, gdy nowożytny warunki istnienia zapewniają każdemu obywatelowi bodaj minimum uregulowanej egzystencji, opartej przede wszystkim na sobie samym, na prawie i na instytucjach. Jeżeli mimo wszystko i dziś tzw. stosunki tak znaczną odgrywają rolę, cóż dopiero było w epoce, gdzie wszystko stało dowolnością i względami

osobistymi? W społeczeństwie przy tym tak towarzyskim jak francuskie, paryskie raczej, człowiek ważył tylko tyle, ilu i jakich miał przyjaciół: bez tego wszystkie drogi miał zamknięte lub w najwyższym stopniu utrudnione; co więcej, jeśli bodaj trochę szedł na przebój lub miał sposobność się narazić, każdy go mógł pozbawić czci, mienia i wolności[4]. Stąd strata przyjaciół, osamotnienie równało się niemal śmierci cywilnej. Dlatego może tyle i tak ustawicznie słyszy się wówczas o przyjaźni; niezależnie od pobudek sercowych każdy, zwłaszcza wśród świata literackiego, robi przegląd swoich „przyjaciół” z takim uczuciem, z jakim dziś przegląda się w kasie ogniotrwałej pewne walory i police asekuracyjne.

*Russa można było, w danym
stanie dusz i umysłów,
uwielbiać jako myśliciela,
wyznawać jako proroka*

Toż samo owo
nieustanne
moralizowanie, te
deklamacje o cnocie,
zasadach, jakich
pełne jest ówczesne
piśmiennictwo,

trzeba brać również z perspektywy epoki. Filozofia XVIII wieku podkopywała zdecydowanie kryteria moralne religii; o ile tedy nie zamierzała zepchnąć ludzkości do poziomu bydła, poczuwała się do obowiązku stworzenia nowych, własnych kryteriów. To świeżo na własny użytek stwarzane „świeckie sumienie” musiało być z natury rzeczy drażliwsze i bardziej agresywne. Podczas gdy człowiek oparty o tradycje religijne (choćby tylko formalnie) zniesie doskonale w swoim postępowaniu, nawet nie zastanawiając się nad tym, uczynki będące w jaskrawej sprzeczności z wszelką elementarną etyką, „filozof”, będący sam dla siebie trybunałem etycznym i zmuszony samoistnie rozwiązywać każdą kwestię, ciągle znajduje się pod wysokim

ciśnieniem moralnym. Jeżeli mu to nie przeszkadza czynić źle, zmusza go co najmniej do stworzenia w każdym dotyczącym wypadku odpowiedniej ad hoc frazeologii.

Jako przykład w tej mierze może służyć sposób, w jaki Rousseau odnosi się w *Wyznaniach* do sprawy niezmiernie tutaj ważnej, do postąpienia z własnymi dziećmi.

Była to paląca kwestia jego życia; kwestia stanowiąca tak namacalną sprzeczność z jego dziełem i grożąca taką plamą na jego pamięci, iż być może dla jej poruszenia podjął on w ogóle spisanie swych zwierzeń. Nie jest bowiem prawdą, jakoby tajemnice te zdradził z własnego popędu; był to niewątpliwie fakt szeroko znany, który wrogowie wygrywali przeciw niemu (*Sentiments des citoyens*), i jeśli pisze o nim, to dla oświecenia go na swój sposób. Kto wie, jeżeli Rousseau tak wydobywa na jaw wszystkie swoje błędy, niegodne nieraz wspomnienia, jeżeli z taką emfazą obwinia się, jako o „największą zbrodnię swego życia”, o głupią historię ze skradzionym kawałkiem wstążki (Część pierwsza), kto wie, czy to wszystko, u tego pierwszorzędnego znawcy psychologii czytelników, nie ma instynktownie na celu przygotowania tła i nastroju, w którym by owo jego naprawdę ciężkie wyznanie dało się przemycić. Niechaj czytelnik zważy dokładnie wszystkie ustępy, gdzie Rousseau mówi o pobudkach swej decyzji: cóż za sofistyka w przedstawieniu sprawy! Ile sposobów usprawiedliwienia, z których jeden stoi w sprzeczności z drugim!

Wszystkie artykuły z TPCT 194: Boy-Żeleński. Kultura na bieżąco

Istotnie, mimo całego mistrzostwa Jana Jakuba w szermowaniu paradoksem, tych pięcioro dzieci, konsekwentnie i z lekkim sercem zaprzepaszczonych w domu podrzutków, to fakt niełatwy do przełknięcia dla tego samozwańczego nauczyciela „cnoty”, dla autora *Emila*, w którym narzuca się światu jako prawodawca wychowania, dla apostoła macierzyństwa, który wymową swą sprawił, iż piękne panie każą przynosić sobie niemowlęta do łoża Opery, aby je tam karmić publicznie. Ciekawy to przyczynek do problemu, do jakiego stopnia u Russa linia talentu pociągnęła za sobą linię życia[5] i podniosła go na wyżyny, do których charakter jego i poziom moralny zupełnie był nieprzygotowany. „To karzeł na szczudłach” — powiada o nim w chwili podrażnienia pani d'Épinay; mimo to w tym powiedzeniu jest tylko część prawdy, i może nie najistotniejsza — reszta kryje się w przepastnych mrokach istoty twórczości i geniuszu..

Tadeusz Boy-Żeleński

Powyższy fragment opublikowany za wolnelektury.pl

[1] Nowsza krytyka coraz bardziej podkopywała autentyczność i znaczenie tych „pamiętników”; w ostatnich zaś latach cenne rewelacje panny Macdonald (*La legende de Jean-Jacques Rousseau*, Paris 1909, przekład z angielskiego) obaliły doszczętnie wszelką ich wartość jako dokumentu. Panna M. znalazła rękopis tych rzekomych pamiętników, z którego niezbicie wynika, iż jest to po prostu swobodnie przez panią d'Épinay pisany romans w formie pamiętnika, i że, co więcej, po zerwaniu stosunków z Russem pani d'Épinay, po części pod dyktandem Diderota i Grimma, przerobiła go całkowicie, obciążając w tej nowej redakcji Russa mnóstwem tendencyjnych rysów, sprzecznych z pierwotnym tekstem. Pamiętniki te, zanim dostały się do druku, uległy jeszcze nowym przeróbkom. Pamiętniki pani d'Épinay miały być w tej wersji niewątpliwie odpowiedzią na *Wyznania*, które Rousseau od dawna zapowiadał, za życia jeszcze odczytywał w paryskich kołach, a które po śmierci jego obiegały w odpisach, zanim je wreszcie ogłoszono drukiem.

[2] Istotnie, obróciła się przeciwko nim: Chateaubriand, wcielający w siebie reakcję romantyczno-chrześcijańską przeciw racjonalizmowi XVIII w., jest synem duchowym Russa.

[3] Zabawnym zbiegiem okoliczności, w tym samym czasie kiedy Rousseau, na wpół wypędzony przez nią, opuszczał Pustelnię, pani d'Épinay przyjmowała w Genewie deputację obywateli, składających jej hołd za opiekę i przyjaźń okazane ich wielkiemu ziomkowi. Pani d'Houdetot też doczekała się apoteozy: rewolucja otoczyła ją nimbem, jako uwielbianą Muzę Jana Jakuba, i ten nimb pozostał jej do końca życia.

[4] Jeden przykład wśród tysiąca: młody literat Clément za krytykę literacką arcynudnego poematu Saint-Lamberta (tego samego, który odgrywa taką rolę w *Wyznaniach*) Pory roku, został dzięki osobistym stosunkom autora osadzony w więzieniu Fort-l'Evéque, a broszura jego wstrzymana w obiegu. Clément wprawdzie rychło wydostał się z więzienia, jednakże z pewnością nie siłą swej niewinności, ale znowuż dzięki zabiegom przyjaciół. Bezpośrednia przyczyna uwięzienia Diderota była niemal jeszcze błahsza.

[5] Nie mniej ciekawym jest ustęp w *Wyznaniach*, opowiadający (Część druga), jak jego niedomaganie pęcherza stało się główną przyczyną, iż uchylił się od audiencji u króla i przyjęcia pensji królewskiej, a w następstwie pchnęło go w objęcia ideologii republikańskiej. Zważywszy olbrzymi wpływ Russa na kształtowanie się umysłowości współczesnej, a zwłaszcza jej dynamikę, można sobie bez cienia żartu zadać pytanie, czy gdyby pęcherz jego był zdrowszy, czy rewolucja francuska byłaby przyszła do skutku, a w każdym razie, czy w tej samej formie?